

Kolumnę redaguje:
Anna Dragan



foto: Andrzej Dragan

Galeria PK

„Nakładające się klisze”

Galeria Pięknego Przedmiotu „Giotto” Mirosławy Dimitrow w 2012 roku 60. wystawą obchodzić będzie swoje piętnastolecie. Obecnie można tu oglądać najnowsze oleje i akryle Marianny Grabowskiej.

Twórczość tej malarki jest mi bliska od kilkunastu lat.

W 1991 roku ukończyła Wydział Wychowania Plastycznego PWSSP w Poznaniu z oceną bardzo dobrą i kontynuowała studia w pracowni Malarstwa, Grafiki i Rzeźby prof. Norberta Skupniewicza. W roku 1995 uzyskała tu dyplom z wyróżnieniem.

Niedługo przedtem po raz pierwszy obejrzałam jej wystawę. Byłam poruszona, jakby wir niepojętej energii wkręcił się w moją wrażliwość!

Niby nic – prace studyjne, to, co pod ręką: domowe kwiatki w donicz-

kach albo w wazonie, czerwone buty ciśnięte za krzesło – a jaka wyrazistość potencjalnego ruchu w każdym z tych przedmiotów. Na oczach widza swoich obrazów, jak w teatrze z odsłoniętą kulisą, autorka rozgrywa problemy światła, rozchodzącego się wiązkami – od lśniących szkieł z tafli stolika do luster, do szklanych krągliści naczyń z wodą i z powrotem, na kilku poziomach odbić. Utrwaliła się na tych płótnach energia zawarta w akcie malarskim, w drażnieniu prawdy, w przetworzeniach, podczas gdy rzetelnie odkrywana geometria wносиła błysk czystości. Głównym odniesieniem dla drogi światła w tych obrazach był kolor – nasyceny, prawdziwie swój własny, spontaniczny. Często bywał to szafir. Zobaczyłam na wystawie Marianny Grabowskiej nowy rodzaj martwych natur, o których wiele można by mówić, ale nie to, że są martwe.

W tym samym czasie oglądałam jej niebieskie cykle obrazów przeznaczonych na plafon, tak osobiste, że poruszały już nie energią, ale pierwotną siłą ludzkiego doznania.

Później bywałam od czasu do czasu świadkiem pracy zawodowej artystki, która powodowała niemałe napięcia (jest dyrektorem Miejskiego Domu Kultury w Kole, przebudowanego i przeorganizowanego wbrew wielu lokalnym tradycjom). Marianna Grabowska po powrocie do domu zamieniała zmęczenie na inne zmęczenie, rozładowywała stresy malując. Chętnie jeździła też na plenery, sama stale je organizowała, dbała o wystawy. Była to codzienna, ostra walka o artystyczną tożsamość, która nie miała prawa rozpuścić się w trudnej rzeczywistości.

Jej malarstwo płaciło za tę szarpaninę. Zaczęła operować ekstremalnie

mocnym kolorem, czerwienią czerwienią niż czerwień, krzyczącą żółcią czy cyklamem, zielenią bardziej przebojową od wiosennej trawy, itp. Przez dłuższy czas widywałam jej niebywałe kwiaty i pejzaże utrzymane w takich tonacjach. Zawsze po mistrzowsku osiągała harmonię, jakby walczyła swoim warsztatem z zagrożeniami własnych obrazów i rozliczała się na płótnie z życiem, zwyciężając, bo inaczej żyć się nie da.

Podziwiałam te zmagania, nie angażując się w nie. Dla mnie była ważna inna artystka, ta słuchająca własnego wnętrza.

Ale na najnowszej wystawie w Galerii „Giotto” spotkałam dawną Marianę, nawracającą do siebie i niegdysiejszych motywów dojrzałe wydoskonalonym warsztatem. Były to reminiscencje z podróży i zapamiętanych miejsc, poukładane w

charakterystyczne dla jej twórczości cykle, głównie dyptyki i tryptyki. Wróciły rozgrywki ze światłem i geometrią, wyczelowane doświadczeniem. „Zapis przeżyć, emocje” „nakładające się klisze” – tak mówiła Marianna Grabowska o swoich obrazach. I jeszcze, że nigdy nie maluje na zamówienie, zawsze tylko dlatego, że chce!

Centralną część wystawy zapełnia olbrzymi, pięcioczęściowy poliptyk. Barwy i pociągnięcia pędzlem prowadzone siłą wewnętrzną, odśrodkową, autentyczną, są mocne i ekspansywne, ale stonowane. Jak zawsze u tej malarki, każdy z segmentów cyklu może być samodzielnym obrazem: ciągłość twórcza łączy je, ale ich do końca od siebie nie ullaenia.

Wspaniałe malarstwo, z zawartą w sobie własną historią. Koniecznie do obejrzenia!